

OPOWIADANIA PRAWIE

WSZYSTKIE

EDGAR

ALLAN

POE



MARGINESY

Berenika

Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquantulum fore levatas.¹

Ebn Zaiat

NIEDOLA RÓŻNE MA OBLICZA. Nędza tego ziemskiego padoleu przybiera rozliczne postaci, roztaczając się nad rozległym widnokregiem na podobieństwo tęczy. Jej odcienie są tak odmienne jak barwy tęczy, które mieniają się rozmaicie, a przecież przechodzą jeden w drugi niemal niezauważenie. Roztaczając się nad rozległym widnokregiem na podobieństwo tęczy! Jakimże sposobem z piękna wywodłem przedstawienie brzydoty? Ze znaku przymierza obraz nieszczęścia? Niemniej, jak w etyce zło jest następstwem dobra, tak z radości rodzi się boleść. Albo wspomnienie minionej błogości dzisiaj przynosi udrękę, albo terazniejsze katusze mają swe źródło w niedoszłej ekstazie.

Ochrzczono mnie imieniem Egeus; rodowego nazwiska nie wspomnę. Dość powiedzieć, że w całym kraju próżno by szukać przybytku bardziej uświęconego przez czas niżli moje szare, ponure, dziedziczne siedlisko. Nasz ród zwano wizjonerskim; i wiele uderzających szczegółów – w charakterze rodowej siedziby – we freskach pokrywających sklepienie głównej komnaty – w wystroju sypialni – w rzeźbie niektórych filarów w zbrojowni – a szczególnie w galerii starych malowideł – w urządzeniu biblioteki – czy wreszcie w zawartości teje biblioteki – aż nadto uzasadnia ten pogląd.

¹ „Rzekli mi towarzysze, że gdybym odwiedził grób przyjaciółki, znalazłbym ulgę w cierpieniu” (łac.).



Moje najwcześniejsze wspomnienia związane są z tą właśnie komnatą i z jej księgami – o których więcej nie napomknę. W jej murach zmarła moja matka. Tam też się narodziłem. Lecz pustotą byłoby twierdzić, że przedtem nie żyłem – że dusza nie istnieje wcześniej. Zaprzeczasz? – nie będziemy się o to spierać. Sam przekonany, nie szukam zwolenników. Pozostaje jednak pamięć ulotnych form – wymownych spojrzeń duchowych oczu – brzmień pięknych, acz smutnych; pamięć, której nie da się usunąć; wspomnienie niczym cień – mgliste, zmienne, niewyraźne, rozchwiane; i podobne cieniowi także w tym, że nie sposób się go pozbyć, póki rozum jaśniej swoim światłem.

W tej komnacie się narodziłem. Ocknąłem się po długiej nocy niebytu, który wszak tylko takim się wydaje, w samym sercu baśniowej krainy – w wysnionym pałacu – w królestwie klasztornej myśli i erudycji. Czyż można się zatem dziwić, że rozglądałem się wokół zdumionym i żarliwym wzrokiem – że chłopiące lata przeszły mi pośród książek, a młodość zmarnotrawiłem pogrążony w rozmyślaniach? Lecz zjawiskiem szczególnym jest to, iż w miarę upływu lat, kiedy dojrzały wiek zastał mnie nadal wśród ścian domu moich ojców – i źródła mego jestestwa popadły w zastój osobliwy – w moim sposobie myślenia nastąpił całkowity zwrot. Rzeczy realnego świata stały się dla mnie niby przywidzenia, i ledwie przywidzenia, wybujałe marzenia zaś stanowiły odtąd nie tylko treść mej codziennej egzystencji, ale wręcz moją wyłączną i niepodzielną egzystencję.



BERENIKA I JA BYLIŚMY KUZYNOSTWEM, razem dorastaliśmy w mych rodzinnych murach. Ale nasz rozwój przebiegał innymi zgoła torami – ja, słabowity, tonąłem w mroku – ona, zwinna i powabna, kipiała energią; jej udziałem wędrowki po wzgórzach, moim – benedyktyńskie ślęczenie nad księgami; ja zamknięty w sobie, oddany ciałem i duszą absorbującym i dręczącym rozmyślaniom – ona beztrudno idąca przez życie, nie-





pomna cieni kładących się na jej ścieżce ani bezgłośnego ulatywania kruczkoskrzydłych godzin. Berenika! – wypowiadam jej imię – Berenika! Na jego dźwięk z szarych zgliszcz pamięci podrywa się chmara zgiełkliwych wspomnień! Ach, staje mi przed oczami żywy jej obraz, jaką ongiś była, w czasach swawoli, wolna od frasunku! Och, pyszna i niezemska uroda! Sylf zabłąkany w zaroślach Arnheim! Najada u leśnego źródła! Lecz potem – co potem, to straszne i tajemnicze dzieje, o których lepiej by zmilczeć. Choroba – zgubna choroba spadła na nią jak nawałnica; patrzyłem, jak jej zarzewie rozprzestrzenia się i odmienia umysł Bereniki, jej nawyki, jej usposobienie, aż wreszcie, w najbardziej podstępny sposób, godzi w samą tożsamość jej osoby! Niestety! Niszczyciel ulotnił się tak, jak się pojawił – a ofiara – gdzież ona? Była mi obca, nic w niej nie zostało z dawnej Bereniki!

Wśród różnorodnych zaburzeń powstałych w następstwie tej pierwotnej i zgubnej przypadłości, która poczyniła takie potworne spustoszenia w duchowym i fizycznym jestestwie mej kuzynki, wymienić wypada najbardziej dotkliwą i uporczywą, to jest pewną postać epilepsji nierzadko kończącej się stanem transu – stanem mającym wszelkie pozory niechybnej śmierci – z którego chora na ogół budziła się w nagły i zaskakujący sposób. Tymczasem moja własna choroba – inaczej bowiem, jak mi powiedziano, nazwać tego nie można – nasilała się w błyskawicznym tempie, przybierając na koniec postać monomanii o nowym i niezwykłym charakterze. Wzmagala się z każdą godziną, z każdą chwilą, aż wreszcie zawładnęła mną całkowicie. Monomania ta – skoro inaczej nie da się tego określić – polegała na chorobliwej pobudliwości teje władzy umysłu, której metafizyczna nauka nadaje miano uwagi. Jest rzeczą mało prawdopodobną, aby moje wyjaśnienia zostały należycie zrozumiane; obawiam się, że nie sposób czytelnikowi o umyśle nieodbiegającym od normy dać właściwe wyobrażenie o nienaturalnie spotęgowanym zainteresowaniu, z jakim, w moim przypadku, umysł oddawał się bez reszty kontemplacji nawet najzwyklejszych rzeczy we wszechświecie.



Rozmyślać nieprzerwanie całymi godzinami, z uwagą skupioną na jakimś błahym zawijasio nakreślonym na marginesie, na kroju czcionek w książce; zatracić się na długie godziny letniego dnia w cudacznym cieniu padającym pod kątem na tapetę lub posadzkę; strawić noc całą na obserwacji migotliwego płomyka lampy; zapamiętać się w rozkosznej woni kwiatu, nieodstępującej mnie po całych dniach; monotonnie powtarzać zwyczajne słowo, aż uleci z niego dla umysłu wszelki sens i stanie się pustym dźwiękiem; utracić poczucie ruchu czy cielesnego bytowania przez uporczywe i długotrwałe pogrążanie się w letargu; takie pokusy – wymieniam tu te najczęstsze i najmniej szkodliwe – rządziły moim umysłem, być może nie wyjątkowe w swej istocie, ale z pewnością stawiające opór analizie, niepoddające się wyjaśnieniu.

Nie chciałbym jednak, aby zrozumiano mnie opacznie. Nie należy bowiem mylić nieuzasadnionej, nadmiernej i chorobliwej ciekawości, wywołanej rzeczami banalnymi w swej istocie, z właściwą wszystkim ludziom skłonnością do zadumy, którą szczególnie pielęgnują w sobie osoby z bogatą wyobraźnią. Nie ma ona, jak można by zasadnie sądzić, nic wspólnego ze skrajnie natężoną czy też wyolbrzymioną postacią takiej skłonności; jest przypadłością innego z gruntu, odrębnego rzędu. W pierwszym przypadku uwaga marzyciela czy też fantasty, skupiona na przedmiocie bynajmniej niebłahym, niezauważalnie porzuca go w gąszczu domysłów i wniosków przezeń wzbudzonych, a wyrwany z rojeń, na ogół rozkosznych, spostrzega on, iż całkowicie stracił z pola widzenia swoje *incitamentum*, pierwotną przyczynę swych rozmyślań. Jeśli zaś chodzi o mnie, źródło mego zainteresowania niezmiennie okazywało się drobnostką, aczkolwiek skutek mojej przypadłości przeinaczającej ogląd nabierała ona pozornej, acz sugestywnej doniosłości. Wniosków wypływało stąd niewiele, a jeśli w ogóle, to uparcie obracały się one wokół pierwotnego przedmiotu. Słowem, podczas gdy u mnie zaprzęgnięta była przede wszystkim uwaga, u marzyciela na pierwszy plan wybijała się refleksja.



Ówczesna moja lektura, nawet jeśli bezpośrednio nie przyczyniała się do pogłębienia mego zaburzenia, wykazywała w swej fantazyjności i niezborności wiele cech pokrewnych jego naturze. W pamięci zachowałem, między innymi, rozprawę czcigodnego Włocha Coeliusa Secundusa *De Amplitudine Beati Regni Dei*; poczesne dzieło świętego Augustyna *Państwo Boże*; oraz Tertuliana *De Carne Christi*, z którego sentencja swym paradoksalnym sensem: *Mortuus est Dei Filius; credibile est quia ineptum est; et sepultus resurrexit; certum est quia impossibile est*¹, niepodzielnie zaprzętała moje myśli przez całe tygodnie usilnych, lecz bezowocnych dociekań.

Widać stąd zatem, iż wytrącany z równowagi jeno przez błahostki, rozum mój podobny był tej skale sterczącej z oceanu, opisywanej przez Ptolemeusza Hefestiona, co mężnie opierała się ludzkiej przemocy i sroźszej od niej furii żywiołów, a zadrzała pod dotykiem kwiatu zwanego asfodel². Aczkolwiek pochopnie wnioskującemu zdać by się mogło pewnym nad wszelką wątpliwość, iż zmiany, jakie wywołała nieszczęsna choroba Bereniki w jej umysłowości, dostarczały obfitej pożywki dla mych zapamiętałych i wynaturzonych medytacji, których charakter starałem się pokrótce nakreślić – nic podobnego nie miało miejsca. Wprawdzie w przeblaskach jasności, kiedym otrząsał się z zaburzenia, bolałem nad jej niedolą i przejęty losem tak łagodnego i nadobnego stworzenia marniejącego w oczach, nie omieszkałem z goryczą zadumać się nad tajemniczymi mocami, które sprawiły ten nagły zwrot. Nie miały jednak te rozmyślenia nic wspólnego z osobliwością mojego schorzenia, jako że zważywszy na okoliczności, właściwe one były ogółowi ludzi. Uwagę moją za to przykuły mniej istotne, ale bardziej zatrważające zmiany, które dotknęły powłokę fizyczną Bereniki – dziwna, przeraźliwa i postępująca zatrata rozpoznawalnych rysów jej postaci.

1 „I umarł Syn Boży, co jest wiarygodne, ponieważ jest niedorzeczne. I złożony w grobie zmartwychwstał, a to jest pewne, gdyż niemożliwe” (łac.).

2 Asfodel, inaczej złotogłów, według mitologii greckiej rósł na „asfodelowych łąkach” w podziemnej krainie umarłych nad Styksem (przyp. red.).



W czasach rozkwitu jej niezrównanej urody nie darzyłem jej miłości. Za sprawą mojej odmienności od normalnego człowieczeństwa uczucia u mnie nigdy nie były porywami serca, pasje zawsze rodziły się w intelekcie. W szarości poranka – w zacienionym szpalerze drzew w południe – w nocnym zaciszu biblioteki – migała mi przed oczami, a ja dostrzegałem nie Berenikę z krwi i kości, lecz Berenikę wysnioną; nie istotę ziemską, cielesną, ale abstrakcję tejże istoty; nie zjawisko godne podziwu, lecz rzecz do analizy; nie przedmiot miłości, lecz temat zawiłych, acz oderwanych rozważań. Zaś t e r a z – teraz w jej obecności, na jej widok dygotałem i bladłem. Niemniej opłakując w duchu postępujące zepsucie jej doczesnej powłoki, pomny, iż od dawna żywi ona do mnie miłość, w złej godzinie poprosiłem ją o rękę.

Zbliżała się pora zaślubin, kiedy pewnego zimowego popołudnia, w dniu niezwykle jak na tę porę roku ciepłym, spokojnym i zamglonym – o takich to dniach mówi się, że są piastunką pięknego Halcjonu¹ – siedziałem (jak mi się zdawało, sam) w bibliotece. Lecz gdy podniosłem wzrok, ujrzałem przed sobą Berenikę.

Nie wiem, czy sprawiła to moja rozgorączkowana wyobraźnia – czy wpływ mglistej aury – czy rozmywający wszystko półmrok komnaty – czy szare szaty, które ją spowijały, dość, że zarys jej postaci był chwiejny i zamazany. Przebiegł mnie lodowaty dreszcz; przytłoczył trwoźny niepokój; zapłonąłem ciekawością i przez dłuższy czas z zapartym tchem, zneruchomiały, przyglądałem się osobie Bereniki. Jakże wychudła! Nic w niej nie ostało się z dawnej istoty. W końcu przeniósłem palący wzrok na jej twarz.

Czoło było wysokie, nadzwyczaj blade i gładkie; częściowo przesłaniały je ongiś krucze włosy, które wiły się na wklęsłych skroniach, lecz swym żółtym połyskiem i kapryśnym charakterem klóciły się z obecnym na obliczu wyrazem melancholii. Oczy były jak martwe, zmatowiałe, bez źrenic, zdawało się. Odruchowo wzdygnąłem się pod wpływem ich szklistego wejrzenia i skierowałem wzrok na zwiędłe i zapadnięte usta.

1 Jako że Jowisz podczas zimowej pory zsyła dwakroć siedem dni ciepła, ludzie ochrzcili tę łaskawą i umiarkowaną aurę piastunką pięknego Halcjonu – *Simonides* (przyp. aut.).



Rozchyliły się w zagadkowym uśmiechu i oczom moim z wolna ukazały się zęby wyniszczonej Bereniki. Bodajbym nigdy ich nie ujrzał albo ujrzawszy je, skonał na miejscu!



ODGŁOS ZAMYKANYCH DRZWI wyrwał mnie z zamyślenia i spostrzegłem, że Berenika opuściła komnatę. Lecz zakamarków mego skołatanego umysłu nie opuściło – i nijak nie dało się przepędzić – białe, upiorne widmo zębów. Ani skazy na powierzchni, ani plamki przebarwienia na szkliwie, ani uszczerbku na krawędziach – tylko to, co wypaliło się w mojej pamięci podczas tej krótkiej odłony. Widziałem je teraz nawet wyraźniej niż wtedy. Zęby! – zęby Bereniki! – prześladowały mnie, otaczały widoczne i namacalne ze wszystkich stron; długie, wąskie i upiorne w swej bieli, w oprawie sinych, rozedrganych warg, tak jak objawiły mi się po raz pierwszy w całej swej grozie. Monomania wzięła mnie w swoje despotyczne władanie i daremnie starałem się uwolnić od jej natrętnego i przemożnego wpływu. Mimo takiego bogactwa przejawów zewnętrznego świata nic nie zajmowało moich myśli prócz zębów. Ich to wyłącznie i wściekle pragnąłem. Rozmyślenia o nich przesłoniły mi wszelkie inne sprawy i zajęcia. Miałem ich obraz – i tylko ten jeden obraz – wciąż przed oczyma wyobraźni; stały się wyłączną i niepodzielną treścią mego duchowego życia. Oglądałem je w każdym możliwym świetle. Obracałem na wszystkie strony. Studiowałem ich właściwości. Roztrząsałem ich znaki szczególne. Zdumiewałem się ich kształtem. Dumiałem nad przemianą w ich charakterze. Z drżeniem przypisywałem im w wyobraźni zdolność odczuwania, a także, nawet bez pomocy ust, wyrażania nastrojów. Trafnie powiedziano o mademoiselle Salle: *Que tous ses pas étaient des sentiments*¹, a co się tyczy Bereniki, święcie przekonany byłem, że *tous ses dents étaient des idées! Des idées!*² – ta właśnie niedo-

1 „Wszystkie jej kroki były uczuciami” (franc.).

2 „Wszystkie jej zęby były ideami! Ideami!” (franc.).



rzeczna myśl dopełniła mojej zguby! *Des idées!* – to dlatego pożądałem ich tak szaleńczo! Sądziłem, że tylko kiedy je posiadę, odzyskam spokój i wróci mi rozum.

Pogrążony w tych rozmyślaniach doczekałem zmierzchu – a potem zapadnięcia, panowania i odejścia zmroku – świtania nowego dnia – i już zbierały się wieczorne mgły, a ja nadal siedziałem bez ruchu w mojej samotni – i nadal dumałem – i nadal bez reszty władał moimi myślami upiorny *f a n t a z m a t* zębów, osaczając mnie, mimo zmieniającej się gry światła i cieni, z odrażającą i niewzruszoną wyrazistością. W końcu w rojenia moje zakradł się krzyk jakby zgrozy i rozpacz; a po krótkiej przerwie rozległy się wzburzone głosy, którym wtórowały zawodzenia pełne bólu lub cierpienia. Poderwałem się z fotela, otworzyłem drzwi i ujrzałem u progu dziewczkę służebną zalaną łzami, która oznajmiła mi, że Berenika... odeszła! Wczesnym rankiem złożona została niemocą, a teraz, u schyłku dnia, sposobiono grobowiec na przyjęcie nowego mieszkańca, wszystko gotowe było do pochówku.



KIEDYM SIĘ SPOSTRZEGLĘ, siedziałem w fotelu w bibliotece, i znów siedziałem tam samotny. Miałem wrażenie, jakbym ocknął się właśnie z chaotycznego, pasjonującego snu. Wiedziałem, że jest już północ; uprzytomniłem sobie, że Berenika złożona została do grobu o zachodzie słońca. Lecz okres dzielący mnie od jej pochówku skrywała dziwna pomroka. W głowie zaś kołatały mi mgliste, groźne obrazy – tym groźniejsze, że tak nieokreślone, dwuznaczne w swej wymowie. Była to przerażająca karta w moich dziejach, zapisana niejasnymi, ohydnyymi i niezrozumiałymi wspomnieniami, którą na próżno usiłowałem rozszyfrować, podczas gdy raz po raz w uszach rozbrzmiewało mi echo przesywającego, przeraźliwego kobiecego krzyku, niczym wycie potępieńca z zaświatów. Uczyniłem coś – ale co? Zadawałem sobie na głos to pytanie, a mury komnaty odpowiadały mi szeptem: „Co to było?”



Na stoliku u mojego boku płonęła lampa, przy niej stało pudełko. Niczym się nie wyróżniało, widywałem je wcześniej, stanowiło bowiem własność lekarza naszej rodziny. Lecz jakimże sposobem trafiło tu tutaj i dlaczego wstrząsały mną dreszcze, kiedy mu się przyglądał? Nijak nie mogłem tego wytłumaczyć. Mój wzrok padł na otwartą księgę, na podkreślone w niej zdanie, niewyszukane, choć osobliwe słowa poety Ebn Zaiata: *Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicæ visitarem, curas meas aliquantulum fore levatas*. Lecz dlaczego przy ich czytaniu włosy zjeżyły mi się na karku i krew zastygła w żyłach?

Usłyszałem delikatne pukanie do drzwi; służący, błady niczym trup, bezszelestnie wszedł do komnaty. Na jego obliczu malowało się przerażenie, zwrócił się do mnie głosem drżącym, ochryplym i ściszo-nym. O czymże mi doniósł? – dotarły do mnie urywki zdań. Opowiedział o dzikim wrzasku, który rozdarł nocną ciszę – o skrzyknięciu się służby – o wyprawie w kierunku, z którego dochodził ów odgłos; mowa jego nabrała przejmującej wyrazistości, kiedy szeptem powiadomił mnie o odkryciu naruszonego grobowca – o zniekształconym ciele złożonym tam na marach, które mimo to nadal oddychało – dygotało – żyło!

Wskazał na moje szaty; były zabłocone i splamione krwią. Oniemiałego, ujął mnie za rękę; widniały na niej ślady odcisniętych ludzkich paznokci. Naprowadził moje spojrzenie na przedmiot oparty o ścianę. Przyglądałem mu się dłuższy czas: to był szpadel. Z krzykiem doskoczyłem do stołu i porwałem leżące na nim pudełko. Nie mogłem go otworzyć i tak byłem roztrzęsiony, że wypadło mi z rąk i rozbiło się z hukiem o posadzkę. Ze środka wytoczyły się narzędzia dentystyczne, a wraz z nimi rozsypały się po podłodze trzydzieści dwa białe, lśniące okruchy czegoś, co wyglądało na kość słoniową.

Eleonora

*Sub conservatione formae specifica salva anima.*¹

Rajmund Llull

WYWODZĘ SIĘ Z RODU znanego w świecie z siły wyobraźni i żaru namiętności. Nazwano mnie szaleńcem, lecz kto wie, czy obłąd nie stanowi najwznioślejszego przejawu inteligencji – czy w znacznej mierze tego, co świetne w naszym dorobku, a w całości tego, co prawdziwie głębokie, nie zawdzięczamy myśli chorobliwej – stanom umysłu wzbudzonym kosztem ogólnego rozwoju intelektu, wszak kwestia ta wciąż pozostaje otwarta. Kto śni na jawie, postrzega wiele rzeczy, które umykają śniącemu tylko nocą. W mglistych wizjach ukazują mu się przebłyski wieczności, a po przebudzeniu fantasta z rozkoszą uświadamia sobie, iż otarł się o próg wielkiej tajemnicy. I tak, krok po kroku, dostępuje on nieco tej mądrości, która jest samym dobrem, więcej zaś wiedzy, która niesie ze sobą zło. Podobni marzyciele wyprawiają się, bez steru czy kompasu, na bezkresny ocean „niewysłowionego światła” i ponownie, jak ów nubijski geograf w swych poszukiwaniach, *agressi sunt mare tenebrarum, quid in eo esset exploratur*².

Przyjmijmy zatem, że jest szalony. Przyznaję bowiem, że moja umysłowość ogarnia dwa przeciwstawne usposobienia – pierwsze to stan przejrzystego rozumu, który wyklucza wątpliwość i który odnosi się do pamięci wydarzeń składających się na pierwszy okres mego życia. Drugie

1 „Przy zachowaniu właściwej formy dusza pozostaje bezpieczna” (łac.).

2 „Wdarli się na morze ciemności, aby je zgłębić” (łac.).



zaś to stan cienia i niepewności, który trwa obecnie i który obejmuje to, co składa się na drugą wielką erę mego istnienia. Dajcie tedy wiarę mojej opowieści o pierwszej epoce mego bytu, zaś to, co się tyczy czasu późniejszego, przyjmijcie z umiarkowaną ufnością albo odrzucicie w całości, a gdy odrzucić nie potraficie, spróbujcie niczym Edyp przeniknąć zagadkę.

Dziewczę, które kochałem za młodu, było jedyną córką siostry mojej dawno zmarłej matki. Kuzynka ma miała na imię Eleonora i wciąż żywe we mnie wspomnienia jej osoby spisuję teraz ze spokojem. Od niepamiętnych czasów mieszkaliśmy razem w opromienionej tropikalnym słońcem Dolinie Wielobarwnych Traw. Nie zdarzyło się, aby trafił do niej człęk niepowołany, gdyż położona była hen, wśród ogromnych wzgórz, które opasując ją szczelnie, nie dopuszczały słonecznego światła do jej najmilszych zakamarków. Gościńce omijały ją z dala, a jeśli kto próbowałby dostać się do naszego szczęśliwego domostwa, musiałby wpierv przeдрzeć się przez gałęzie tysięcy drzew broniących doń dostępu, niszcząc pod stopami kobierce wonnego kwiecica. Stało się zatem, że zamieszkiwaliśmy tę dolinę samotnie, niepomni rozciągającego się za nią szerokiego świata – ja, moja kuzynka i jej matka.

Z zamglonych obszarów za wzgórzami, z wyższego krańca naszej obramowanej dziedziny wpływała do doliny wąska i głęboka rzeka. Nic na świecie nie jaśniało jak jej lustro, nic oprócz oczu Eleonory. Wijąc się niepostrzeżenie licznymi zakolami, docierała w końcu do cienistego wąwozu w drugim krańcu doliny i tam ginęła, meandrując pośród odległych wzgórz blade majaczących na horyzoncie. Nazwaliśmy ją „Rzeką Milczenia”, albowiem niosła ze sobą wyciszenie, które dziwnie udzielało się jej otoczeniu. Nie wlatywał w powietrze nad jej wodami nawet najłżejszy szmer, a jej nurt był tak łagodny, że kamyki na dnie głębokiego koryta, które uwielbialiśmy oglądać, tkwiły nieporuszone, trwały na swych miejscach w błogim zadowoleniu, lśniąc nieustannym blaskiem.

Obrzeża rzeki, a także licznych skrzących się strumyków, które podążając krętymi torami, zasilaly jej bieg, jak również połączie ciągnące się od obrzeży w głąb wód, aż do samego usianego kamieniami dna – te poła-



cie, jak i całą powierzchnię doliny, aż po otaczające ją wzgórza, pokrywał kobierzec miękkiej zielonej trawy, gęstej, krótkiej, idealnie równej, rozsie-
wającej woń wanilii, kobierzec przetykany żółtymi jaskrami, białymi sto-
krotkami, fiołkami i rubinowymi astrami, którego nadzwyczajne piękno
dobitnie obwieszczało naszym sercom miłość i chwałę Stwórcy.

Porastały tę trawę tu i ówdzie kępy fantasmagorycznych drzew, rodem
z najśmielszych przywidzeń, a ich smukłe strzeliste pnie nie wznosiły się
prosto do nieba, lecz wyginały się wdzięcznie w stronę światła, które
w południe muskało sam środek doliny. Ich kora usiana była na przemian
połyskliwymi płatami hebanu i srebra, a gładkością nie mogło równać się
z nią nic na świecie, nic oprócz lic Eleonory. Gdyby nie jaskrawa zieleń
olbrzymich liści, rozpościerających się z wierzchołków długimi, rozedrga-
nymi pasmami, pieszczonych tchnieniem Zefira, można by je zasadnie
wziąć za olbrzymie syryjskie węże oddające hołd swemu bogu, Słońcu.

Piętnaście lat przemierzaliśmy z Eleonorą tę dolinę ręka w rękę,
nim w naszych sercach zagościła miłość. Stało się to pewnego wieczoru,
kiedy moja kuzynka kończyła piętnasty rok życia, a ja dwudziesty. Sie-
dzieliliśmy wtedy spleceni pod wężowymi konarami, spoglądając na swe
odbicia w wodach Rzeki Milczenia. Do końca tego cudownego dnia nie
wypowiedzieliśmy ani słowa, jeszcze nazajutrz odzywaliśmy się z rzadka,
głosami wciąż drżącymi. Z nurtu rzeki zacerpnęliśmy dar Boga Miłości
i czuliśmy, że Eros rozpałił w nas żarliwe dusze naszych przodków. Spły-
nęła na nas fala namiętności, od wieków wyróżniającej nasz ród, a wraz
z nią odżyła w nas również wyobraźnia cechująca go od pokoleń, te zaś,
działając pospołu, wniosły do Doliny Wielobarwnych Traw gorączkową,
upojną szczęśliwość. Odmieniło się w niej wszystko. Na drzewach, które
nigdy wcześniej nie kwitły, wyrosły nagle osobliwe płomieniste kwiaty
w kształcie gwiazd. Zieleń trawiastego kobierca pociemniała, białe sto-
krotki zanikły, a rozplenily się zastępy purpurowych goździków. Dolina
wypełniła się życiem. Przybyły niewidziane tu dotąd rosłe flamingi, które
pyszniły się swym karminowym upierzeniem, a w ślad za nimi rzesze mie-
niącego się cudownie, wesołego plectwa. Rzeka zarojła się od złocistych



i srebrzystych ryb, a z głębi jej wód dobywał się narastający szmer, który przerodził się w kojącą muzykę, słodsza od dźwięków eolskiej harfy – nic na ziemi nie mogło równać się z jej niebiańskimi tonami, nic oprócz głosu Eleonory. Ogromny obłok, który podziwialiśmy od dawna, wiszący na niebie nieopodal Gwiazdy Wieczornej, płynął ku nam, jaśniejąc złotem i purpurą i opadając niżej dzień po dniu, osiadł wreszcie na szczytach wzgórz, wnosząc do tej mrocznej rubieży swój przepych, zamykając nas, jakby po wsze czasy, w czarownym więzieniu świetności i chwały.

Eleonora obdarzona była urodą istic anielską; to prostolinijne i niewinne dziewczę wiodące życie pośród kwiatów nie znało podstępów. Nie skrywała za wymyślną fasadą żaru miłości rozpalającej jej serce i odsłaniała przede mną najgłębsze jego tajniki, kiedyśmy przemierzali Dolinę Wielobarwnych Traw, omawiając doniosłe zmiany, jakie w niej zaszły.

Jednak pewnego dnia, ze łzami w oczach, wspomniała o tej ostatniej smutnej zmianie, jakiej poddany jest każdy człowiek, i od tej pory wplatała ów żałobny temat do każdej rozmowy, jak to się dzieje w strofach barda z Szirazu¹, gdzie te same obrazy powracają raz po raz w zmyślnie odmienionych frazach. Eleonora pojęła bowiem, iż naznaczona została przez Śmierć – że niczym efemeryda ujrzała światło dzienne w całej swej krasie po to jedynie, aby zaraz umrzeć. Lecz z jednego tylko powodu skon napełniał ją przerażeniem, i powód ten wyjawiała mi pewnego dnia o zmierzchu nad Rzeką Cisy. Cierpiała na myśl, że po złożeniu jej do grobu w Dolinie Wielobarwnych Traw opuszczę na zawsze ten rajski zakątek i w szerokim świecie, jaki rozciąga się za jego granicami, inna panna zostanie wybranką mego serca, obecnie oddanego bez reszty jej, Eleonorze. Rzuciłem się wówczas do jej stóp i przyrzekłem jej oraz Niebiosom, że nigdy nie zwiążę się małżeństwem z żadną córą tej ziemi – iż w żaden sposób nie sprzeniewierzę się pamięci jej drogiej osoby ani pamięci żarliwego uczucia, jakim mnie błogosławiła. A na świadka moich uroczystych

1 Zapewne chodzi o Sadię z Szirazu (1213–1295), perskiego poetę, autora m.in. *Ogrodu Różanego*, w którego twórczości pod pogodnym poglądem na świat często ukrywał się mistycyzm (przyp. red.).



ślubów wezwałem samego Potężnego Władcę Wszechświata. Gdybym zaś okazał się wiarołomcą i nie dotrzymał obietnicy, Pan w Niebiesiech oraz sama Eleonora, ta czysta dusza przeznaczona Elizejskim Polom, obłożyć mnie mieli kłatwą i spuścić na mnie karę tak straszliwą, że lepiej o niej tutaj zmilczę.

Lśniące oczy Eleonory zapały jeszcze jaśniejszym blaskiem pod wpływem moich słów, a z jej piersi dobyło się westchnienie, jakby kto zdjął z nich śmiertelne brzemię. Zadrżała i zapłakała rzewnymi łzami, lecz przysięgę przyjęła (wszak dziewczę było z niej kručze), a łożo śmierci stało się dla niej przez to miłsze. Wyznała mi kilka dni później, spokojnie umierając, że w podzięce za to, co uczyniłem na pociechę jej duszy, po śmierci będzie czuwać nade mną duchem, i jeśli będzie jej dane, ukazywać mi się będzie nocą; gdyby zaś to przekraczało moc duszyczek w Raju, da mi znać o swej obecności w inny sposób, wplatając swe westchnienie w powiew wieczornego wietrzyka lub rozsiewając czarowne wonie z anielskiej kadzielnicy w powietrzu, którym oddycham. Z tymi słowami na ustach dokonała swego niewinnego żywota, i tym samym dobiegła kresu pierwsza era mojego istnienia.

Dotąd w mej historii wszystko oddałem wiernie. Lecz gdy przekraczam barierę na drodze Czasu, barierę wyznaczoną przez śmierć mojej ukochanej, i przechodzę do drugiej epoki swego życia, czuję, jakby mój umysł pogrążył się w cieniu, i osaczają mnie wątpliwości, czy mój przekaz jest w pełni wiarygodny. Niemniej wyłożę rzecz do końca. Lata wlokły się ospale, a ja wciąż mieszkałem w Dolinie Wielobarwnych Traw, w której po raz wtóry wszystko się odmieniło. Zwiędły gwiazdziste kwiaty, na powrót zapadły się w pnie drzew i zniknęły na zawsze. Zblakły barwy zielonego kobierca, zmarniały purpurowe goździki, a na ich miejscu gromadnie wyrosły patrzące żałośnie ciemne fiołki, niespokojnie rozkołysane i wiecznie zwilżone rosą. Wypełniona życiem dolina opustoszała, albowiem odleciały z niej rosłe flamingi, które pyszniły się swym karminowym upierzeniem, a w ślad za nimi rzesze mieniącego się cudownie, wesolego ptactwa, które wraz z nimi tu przybyło. Złociste i srebrzyste



ryby odpłynęły wąskim przesmykiem rzeki uchodzącej z naszej dziedziny z drugiego, niższego krańca, i nie ozdabiały już wód naszych strumieni. Kojąca muzyka, słodsza od dźwięków eolskiej harfy, z której niebiańskimi tonami nie mogło się równać nic, nic oprócz głosu Eleonory, ta muzyka stopniowo cichła, szmer stawał się coraz słabszy, aż rzeka na powrót zapadła w pełne powagi milczenie. Na koniec oderwał się od wierzchołków wzgórz ogromny obłok, skazując je na dawny mrok, i poszybował ku Gwieździe Wieczornej, unosząc z Doliny Wielobarwnych Traw całe różnorodne bogactwo swej świetlistej świetności.

Jednak Eleonora nie zapomniała o swojej obietnicy, albowiem niekiedy dochodził moich uszu poszum kołysanych anielską ręką kadzielnic i po całej dolinie niosły się niebiańskie wonie, a w dłużących się godzinach samotności owiewające me skronie wiatry przybywały brzemienne cichymi westchnieniami, często zaś w nocnym powietrzu rozchodziły się niewyraźne szmery, a raz – ach, raz tylko! – z drzemki, ciężącej mi niczym sen śmierci, wybudziło mnie muśnięcie duchowych ust składających na mych wargach pocałunek.

Lecz nawet te sposoby nie potrafiły zapełnić pustki w moim sercu. Tęskniłem za miłością, która niegdyś rozpierała me jestestwo. W końcu wspomnienia Eleonory uczyniły dalszy mój pobyt w dolinie nieznośnym, porzuciłem ją tedy dla próżnych spraw i burzliwych triumfów światowego życia.



TRAFIŁEM DO OBCEGO MIASTA, gdzie nie brakło rzeczy, które mogły zagłuszyć wspomnienia słodkich snów, jakie tak długi czas roiłem w Dolinie Wielobarwnych Traw. Przepych i wystawne ceremonie dostojnego dworu, zaciekły szcęk oręża, promienna uroda kobiet, wszystko to oszałamiało mnie i odurzało. Jednak dusza moja trwała przy swych ślubach, a Eleonora nadal zsyłała mi wśród nocnej ciszy znaki swojej obecności. Wtem świadectwa te ustały, a świat pociemniał w moich oczach. Albowiem hen,



z daleka, z odległej i nieznannej krainy przybyła na dwór króla, któremu służyłem, panna o urodzie, co wnet zawładnęła całym moim wiarołomnym sercem – której uległem pokłoniłem się w płomiennym, czołobitnym hołdzie miłości. Czymże bowiem była namiętność, jaką onegdaj żywiłem dla dziewczęcia z doliny, wobec żaru, obłędu, uskrzydłającej duszę ekstazy uwielbienia, jakie wzbierały we mnie, kiedym we łzach wylewał całe me jestestwo u stóp eterycznej Ermengardy? Seraficzna Ermengarda jaśniała jedynym w swoim rodzaju blaskiem, który przyćmiewał wszystkie inne nadobne panny. Niebiańska Ermengarda była jak anioł, a kiedym spoglądał w przepastne głębie jej niezapomnianych oczu, myślałem jeno o nich – i o niej.

Poślubiłem ją, nie dbając o to, czy ziści się ciążąca na mnie klątwa. I nie spadła na mnie karząca ręka. A raz jeden, wśród nocnej ciszy, tak jak ongiś, doleciały mnie z oddali niesłyszane od dawna ciche westchnienia, które przybrały postać znajomego słodkiego głosu, oznajmiając:

„Śpij spokojnie! Albowiem wszystkim włada i rządzi Duch Miłości, a biorąc do swego namiętnego serca tę, która zwie się Ermengarda, zostałeś zwolniony – z powodów, które poznasz w Niebiesiech – z przyrzeczenia, jakie złożyłeś Eleonorze”.

Zagłada Domu Usherów

Son coeur est un luth suspendu;

Sitôt qu'on le touche il resonance.¹

P.J. de Béranger

PÓŹNĄ PAŹDZIERNIKOWĄ PORĄ, od rana w siodle, przez cały szary i głuchy dzień przemierzałem pod nisko zawisłą na niebie przytłaczającą powalą chmur ponure i odludne okolice i zmierzchało już, gdy ukazał się wreszcie mym oczom smętny Dom Usherów. Nie wiem, z jakiej przyczyny – ale gdym tylko go ujrzał, przeniknął mnie przeraźliwy smutek. Powiadam przeraźliwy, albowiem doznania tego nie łagodziła owa poetyczna, a co za tym idzie, na poły powabna aura, w jakiej przedstawiają się nam zazwyczaj nawet najsroźsze w przyrodzie obrazy grozy czy spustoszenia. Spoglądałem na roztaczający się przede mną widok – na zwykły dwór i na pospolite rysy krajobrazu przyległej doń włości – na ponure mury – na okna spoglądające pustym wzrokiem – na kępy wybujałej turzycy – na sterzące gdzieniegdzie zbutwiałe pnie białych drzew, patrząc na to wszystko w skrajnym przygnębieniu, jakiego nie da się porównać do żadnego zrodzonego na ziemi uczucia, wyjąwszy może wrażenie towarzyszące przebudzeniu opiumisty z rozkosznych rojeń – zatrutemu gorczyczą nawrotowi powszedniości, gdy rozwieje się ułuda. Na porażonym i ściśniętym sercu leżało niczym lodowaty kamień posępne strapienie; myśli ogarnęła przytłaczająca pomroka, której uwznioślić nie zdołałby najbardziej rozpaczliwy wzlot wyobraźni. Czemu to przypisać? – zastanawiałem się, ściągając wodze. Czemu przypisać ten wstrząs duchowy, jakiego doznałem, kiedy przypatrywał się Domowi Usherów? Była to tajem-

1 „Jego serce jest niczym lutnia; gdy się go dotknie, zaraz rozbrzmiewa” (franc.).



nica zgoła nieprzenikniona; podobnie nie mogłem ogarnąć natłoku niejasnych wyobrażeń, jakie cisnęły mi się do głowy. Z konieczności więc musiałem zadowolić się mizernym wnioskiem, że jakkolwiek najzwyczajsze pod słońcem rzeczy mogą wystąpić w zestawieniu, które ma w sobie moc przyprawiania nas o taki stan ducha, to jednak zbadanie owej mocy należy do zadań dla umysłu ludzkiego niedosięglych. Mogło się okazać, snułem dalej rozważania, iż proste przesunięcie szczegółów składających się na cały obraz wystarczy, aby zlagodzić czy wręcz unicestwić przygnębiające wrażenie, jakie wywoływał. Z tą myślą przywiódłem mego konia na urwisty brzeg ponurego stawu, który kładł się przed domem czarną, lśniąca i niezmaconą taflą, i wejrzałem – przyplacając to silniejszym jeszcze niżli przedtem dreszczem – na odwrócone i zniekształcone odbicia siwej trawy, upiornych kikutów drzew i spoglądających pustym wzrokiem okien.

Niemniej w tymże ponurym przybytku z własnego wyboru miałem teraz spędzić kilka tygodni. Jego właściciel, Roderick Usher, był oddanym towarzyszem moich chłopięcych zabaw, lecz od naszego ostatniego spotkania upłynęło wiele lat. Jednakże nie tak dawno temu, kiedy bawił w dalekich stronach, otrzymałem list – list skreślony jego ręką – który w swej wymowie, szalenie natarczywej, nie mógł przejść z mej strony bez echa. Pismo zdradzało niezwykle rozgorączkowanie autora. Donosił on w nim o dotkliwych dolegliwościach ciała, o zaburzeniu umysłowym, które kładło się cieniem na jego życiu, a także o szczerym pragnieniu widzenia się ze mną, swym najlepszym i w istocie jedynym serdecznym przyjacielem, co – jak sądził – z uwagi na moje pogodne obejście mogłoby nieco ulżyć jego cierpieniu. Nade wszystko ujął mnie ton wypowiedzi, serce, które znalazło wyraźne odbicie w treści; wykluczało to jakiegokolwiek wahanie z mojej strony, toteż niezwłocznie zastosowałem się do życzenia, które mimo to uważałem za nader osobliwe.

Choć niegdyś łączyła nas bliska zażyłość, w gruncie rzeczy niewiele wiedziałem o mym przyjacielu, który słynął ze swej ogromnej skrytości. Wiadomo mi było jednak, że jego starożytny ród od niepamiętnych



czasów odznaczał się szczególnie wrażliwym usposobieniem, któremu od wieków dawał wyraz w licznych chwalebnych dokonaniach artystycznych, a ostatnimi czasy w szeroko zakrojonej, lecz nieszukającej poklasku działalności dobroczynnej, jak również w zamiłowaniu do zawilosci muzycznej sztuki, przedkładanych ponad ustalone kanony łatwo dostrzegalnego piękna. Dowiedziałem się również, że pień rodu Usherów – rzecz to raczej wyjątkowa – choć tak zamierzchły, nie wydał żadnej trwałej bocznej gałęzi; innymi słowy, cała rodzina wywodziła się w prostej linii od wspólnego przodka, a wszelkie odchylenia, z natury rzeczy znikome, szybko przemijały. Ta właśnie ułomność, uznałem, rozważając doskonałą zbieżność charakteru posiadłości z cechami przypisywanymi jej dziedzicom i snując domysły na temat przypuszczalnego wpływu, jaki w trakcie długich stuleci włość ta wywierała na swych panów i odwrotnie – ta właśnie ułomność, cherlactwo bocznych gałęzi rodu, skutkujące spuścizną postępującą jednym ustalonym torem, przechodzeniem z seniora na syna majątku pospółu z nazwiskiem, sprawiła, że z upływem czasu jedno stało się tożsame z drugim, a pierwotne miano posiadłości zostało zastąpione wdzięcznym i wymownym określeniem „Dom Usherów” – określeniem, które w pojęciu posługujących się nim wieśniaków zdawało się obejmować zarówno rodzinę, jak i jej rodową siedzibę.

Nadmieniłem już, że mój nieco dziecinny eksperyment, który polegał na wejrzeniu w toń stawu, zaowocował jedynie wzmocnieniem pierwotnego osobliwego wrażenia. Nie ulega wątpliwości, iż świadomość coraz głębszego popadania we władzę przesądu – czyż można bowiem nazwać to inaczej? – jeszcze bardziej mnie w niej pogrążyła. Paradoksalne to prawo, o czym wiadomo mi od dawna, rządzi wszelkimi odczuciami, u których podstawy leży groza. Zapewne to właśnie sprawiło, że gdym znów przeniósł wzrok na dom z jego odbicia w tafli stawu, w umyśle moim zrodziło się dziwaczne urojenie – w istocie swjej tak niedorzeczne, iż wspominam o nim jedynie na dowód natręctwa nękających mnie wrażeń. Podniecona wyobraźnia kazała mi wierzyć, że cały dwór i jego otoczenie





zaiste spowija im tylko właściwa atmosfera; atmosfera wszak jak najbardziej obca niebiańskim przestworzom, wionąca wonią zbutwiałych drzew, zszarzałych murów i głuchej toni stawu: zdradliwy, zagadkowy wyziew o barwie ołowiu, który snuł się leniwie, ledwo dostrzegalny.

Otrząsając się z tego przywidzenia – przywidzeniem bowiem być musiało – zwróciłem tym baczniejszą uwagę na rzeczywisty wygląd domu. Nade wszystko wybijał się jego sędziwy wiek; odcisnął się na nim niszczący upływ czasu. Po całej fasadzie rozpleniły się drobne porosty, zwisające z gzymśów zwiewnymi, splątanymi pajęczynami. Budowla bynajmniej nie chwiała się w posadach. Zaprawa tkwiła w spoinach, a kamienie w murze wciąż doskonale do siebie przylegały, co stało w jaskrawej sprzeczności z wyraźną zwietrzałością budulca. Przywiodło mi to na myśl kruchą spoistość, jaką wykazuje drewniana boazeria, próchniejąca przez długie lata w zaciszu jakiejś zatęchłej nory, dokąd nie wdzierają się napastliwe podmuchy świeżego powietrza. Jednakże mimo oznak postępującego niszczenia konstrukcja nie wydawała się nadwerężona. Być może co bystrzejszy obserwator odkryłby niemal niezauważalną szczelinę, która biegnąc zygzakiem w poprzek frontowej ściany domu, ginęła w mrocznych wodach stawu u podnóża muru.

Pomny tych spraw, podjechałem groblą pod dom. Oddawszy konia słudze, wszedłem do gotycko sklepionej sieni. Lokaj, który zjawił się znieznacka, powiódł mnie stamtąd w milczeniu przez labirynt mrocznych korytarzy do gabinetu swego pana. Zaprawdę nie wiem dlaczego, ale to, com dostrzegł po drodze, nasiliło we mnie niepokojące odczucia, o których napomknąłem wcześniej. O ile z wystrojem wewnątrz – rzeźbionymi stropami, ponurymi gobelinami na ścianach, lśniąca czernią posadzek i zdobytymi na wojennych wyprawach zbrojami, niczym zwidy pobrękującymi za każdym moim stąpieniem – o ile z rzeczami tymi obeznany byłem już od dzieciństwa i choć znajomego ich charakteru nie omieszkalem sobie podkreślić, to jednak ze zdumieniem przyjmowałem rojenia, jakie powstawały w mym umyśle pod wpływem tych zwyczajnych widoków. Na schodach natknąłem się na lekarza rodziny. Z jego oblicza



mogłem wyczytać niską przebiegłość zaprawioną bezradnością. Pozdrowił mnie bojaźliwie i ruszył dalej swoją drogą. Lokaj uchylił przede mną drzwi i doprowadził przed oblicze swego chlebobdawcy.

Znalazłem się w przestronnym i wysokim pomieszczeniu. Okna długie, wąskie i zwieńczone ostrym łukiem osadzono tak wysoko nad czarną dębową podłogą, że od środka zdawały się niedosięglę. Przez witrażowe szyby sączyły się nikłe promyki karmazynowego światła, wydobywając z mroku co ważniejsze sprzęty, niemniej niepodobna było przeniknąć wzrokiem odleglejszych kątów komnaty czy wnęk żebrowanego sklepienia. Ściany spowijały ciemne draperie. Meble, choć liczne i wystawne, zdawały się nieprzytulne, wiekowe i podniszczone. Rozrzucone książki i muzyczne instrumenty daremnie starały się ożywić całą scenę. Odniosłem wrażenie, że wdycham powietrze przesycone zgryzotą. Na wszystkim kładła się przytłaczająca atmosfera skrajnego i nieprzewycięzonego smutku.

Kiedym przestąpił przez próg, Usher podniósł się z sofy, na której odpoczywał, leżąc na wznak, i powitał mnie z wylewnością, która uderzyła mnie jako przesadna – wymuszona serdeczność znużonego światowca. Jednak rzut oka na jego twarz upewnił mnie o jego całkowitej szczerości. Usiedliśmy i na chwilę zapadło milczenie. Przyglądałem mu się z mieszaniną trwogi i litości. Zaprawdę próżno by szukać drugiego człowieka, który by tak straszliwie się odmienił, i to w tak krótkim czasie, jak Roderick Usher! Ciężko przychodziło mi uznać w nieszczęsnej istocie, jaką miałem przed sobą, druha z mych młodzieńczych lat. Jednakże swym obliczem wyróżniał się zawsze. Trupia niemal błądźloność lica; oko duże, czyste i niezrównanie lśniące; usta raczej cienkie, na domiar tego sine, lecz o zachwycającym wykroju; nos z rodzaju żydowskich, lecz delikatnie sklepiony, acz o nadmiernie rozszerzonych nozdrzach; szlachetnie ukształtowana broda, której łagodny rysunek wskazywał na niedostatek woli; włosy cieńsze i zwiewniejsze od pajęczej sieci; cechy te, w połączeniu z niepospolitą wypukłością czoła, tworzyły powierzchowność głęboko zapadającą w pamięć. W głównej mierze nasileniu owych szcze-



gólnych rysów, wyostrzeniu bijącego z nich wyrazu przypisać należało zmianę, która zrazu kazała mi wątpić w tożsamość mego rozmówcy. Zaś nade wszystko poruszyła mnie czy wręcz zatrwożyła jego, zdawało się, przezroczysta cera i nieziemski blask oczu. Obrazu dopełniały delikatne włosy, które od dawna nieprzycinane, niczym wybujałe babie lato nie tyle otulały, ile opływały twarz, sprawiając, że z trudem mogłem dopatrzeć się w tej cudacznej, arabskiej całości rysu zwykłego człowieczeństwa.

W obejściu mego przyjaciela raziła mnie pewna niespójność, nawet sprzeczność; niebawem odkryłem, że wynikało to z ponawianych przez niego prób, słabych i daremnych, przewyciężenia stanu ustawicznego pobudzenia, nadmiernego rozgorączkowania. Czegoś podobnego mogłem się spodziewać, w równej mierze na podstawie otrzymanego listu, jak i przez wzgląd na szczególne cechy zapamiętane z jego lat młodzieńczych czy wnioski, do jakich skłaniały osobliwy jego ustrój i usposobienie. Zachowanie Ushera zdradzało niezwykle ożywienie na przemian z osowiałością. Głos wykazywał gwałtowne wahania, od chwiejnego rozedrgania (gdy zwierzęcy pierwiastek wydawał się całkowicie uspiomy) do artykulacji pełnej namaszczenia, niespiesznej, głuchej i dobitnej – tej ciężkiej, statecznej i gardłowej wymowy o nienagannej modulacji, jaką odznaczają się wynurzenia zatraconego pijaka czy zapamiętałego palacza opium w chwilach szczytowego uniesienia.

W taki też ton uderzył, mówiąc o celu, dla którego mnie tu sprowadził, o szczerzej chęci ujrzenia mnie, jak i nadziei poprawienia swego opłakanego stanu, jaką wiązał z moim pobytem. Następnie przybliżył mi istotę swojej przypadłości. Otóż była to, jak rzekł, skaza przyrodzona, nękająca jego ród, na którą daremnie usiłował znaleźć lekarstwo – zwyczajne roztrzęsienie, i natychmiast zapewnił, że ono bez wątpienia niebawem ustąpi. Objawiało się to na różne, nader niezwykle sposoby. Wśród nich kilka szczególnie mnie zaintrygowało, wręcz zdumiało, w czym zapewne miał swój udział sam dobór określeń i ogólny wydzźwięk opowieści Ushera. Cierpiał na chorobliwe przeczulenie zmysłów; znosił jedynie najbardziej młde pokarmy; wdziewać na siebie mógł tylko tkaniny delikatne jak aksa-



mit; woń kwiatów drażniła go niewymownie; oczy raziło nawet blade światło; a co się tyczy dźwięków, o udrękę przyprawiały go wszystkie, wyjąwszy brzmienie strun gitary.

Groza z gatunku najdziwaczniejszych spętała nieszczęśnika swym jarzmem. „Przyjdzie mi zginąć”, oświadczył. „Przyjdzie mi niechybnie zginąć w tym szaleństwie. Tak właśnie, nie inaczej, dokona się moja zguba. Lękam się przyszłych wydarzeń, nie dla nich samych, lecz dla ich skutków. Drzę na samą myśl o wypadku nawet najbłahszym, o tym, jak wpłynąć może na mą pobudzoną ponad wszelką miarę duszę. Samo niebezpieczeństwo nie budzi we mnie trwogi, jedynie jego pochodna – przerażenie. W tym rozdygotanym – w tym żalonym stanie spodziewać się mogę nieuchronnej chwili, kiedy porzucić mi przyjdzie i życie, i rozum, w walce z tym ponurym widmem – STRACHEM”.

Co więcej, za sprawą zdawkowych i mglistych aluzji stopniowo wyszła na jaw kolejna jego dziwaczna mrzonka. Biedak tkwił we władzy pewnych przesądnych wyobrażeń na temat swej rodowej siedziby, nieopuszczanej przez niego od wielu lat. Przesady te tyczyły się wpływu, którego domniemana moc brzmiała w ustach Ushera tak ogólnikowo, że nie sposób jej tu przytoczyć – wpływu, jaki niektóre osobliwości formy i tworzywa budowli zdobyły jakoby nad jego duchem, przytłaczającego piętna, jakie, zdaniem Ushera, na jego umysłowości odcisnęła namacalna i odwieczna obecność szarych murów, wieżyczek oraz mrocznej toni stawu, w której się przeglądały.

Wyznał jednakże, acz nie bez wahania, iż przygnębienie, które tak go dręczyło, po części można przypisać przyczynie naturalnej i o wiele bardziej wymiernej – ciężkiej i przewlekłej chorobie, a nawet przeczuwanej rychłej śmierci ukochanej siostry; ona jedna dotrzymywała mu towarzystwa przez długie lata, gdyż poza nią nie miał bratniej duszy na ziemi. Jej zgon, oznajmił z goryczą, która mną wstrząsnęła, skaże go (człeka złamanego i zrozpaczonego), ostatniego potomka starożytnego rodu Usherów, na samotność. Gdy to mówił, oczom mym ukazała się lady Madeline (tak bowiem się zwała), która wyłoniła się z odległego kąta gabinetu i nie



zauważając mojej obecności, ruszyła powoli w stronę drzwi. Spoglądałem na nią ze zdumieniem z domieszką trwogi, nie potrafiłem wszak niczym sobie wytłumaczyć takich odczuć. Odprowadzając ją wzrokiem, odniosłem wrażenie martwoty. Gdy drzwi wreszcie się za nią zamknęły, przeniosłem przejęte, pytające spojrzenie na brata; ale ten ukrył twarz w dłoniach, a przez poblądłe nagle ponad swą zwykłą miarę, wychudzone palce sączyły się serdeczne łzy.

Nad dolegliwością lady Madeline od dawna łamali sobie głowy jej lekarze. Postępująca apatia, stopniowy zanik osobowości oraz częste, choć przejściowe stany kataleptyczne – tak brzmiało rozpoznanie tego rzadkiego przypadku. Siostra opierała się dotąd dzielnie podstępnej sile choroby i do końca zachowywała swobodę ruchów; jednak tego dnia, gdym zjawił się w ich domu, późnym wieczorem uległa (o czym wieść przekazał mi tej samej nocy mój wielce wzburzony gospodarz) mocy ciemności; domyśliłem się, że obraz jej osoby w gabinecie brata pozostanie mym ostatnim – że damy tej, przynajmniej żywej, nie będzie mi już dane oglądać.

Przez kilka następnych dni zarówno Usher, jak i ja wystrzegaliśmy się wszelkich wzmianek o Madeline, a ja czyniłem, co w mej mocy, aby uśmierzyć udrękę przyjaciela. Oddawaliśmy się wspólnie malowaniu i czytaniu albo wsłuchiwałem się rozmarzony w obłądne improwizacje na gitarze, która pod jego ręką zdawała się po ludzku łkać. W ten sposób coraz bliższa zażyłość otwierała przede mną tajniki jego duszy; tym dotkliwiej jednak uzmysławiałem sobie jałowość wszelkich prób rozweselenia człowieka, którego umysł tchnął mrokiem niczym wrodzoną, wymierną jakością, zaścianając wszechświat fizyczny i duchowy jednym nieustającym potokiem melancholii.

Na zawsze zachowam wspomnienie długich, naznaczonych powagą godzin spędzonych w towarzystwie pana Domu Usherów. Mimo to zawieść muszą wszelkie moje próby dokładnego oddania charakteru poszukiwań czy też zajęć, w których on wytyczał nam drogę, ja zaś zdawałem się na jego przewodnictwo. Wybujałe wysublimowanie spowijało wszystko złudną luną. Po wsze czasy dźwięczeć mi będą w uszach



żałobne zawodzenia gitary Ushera. Spośród wielu jego zachwycających dokonań boleśnie wręcz wryło się w mą pamięć pewne przewrotne i śmiałe rozwinięcie upojnej melodii ostatniego walca skomponowanego przez Webera. Z malowideł zaś, które dojrzywały w jego wyrafinowanej wyobraźni i które stopniowo ukazywały się mym oczom w całym swym niedookreśleniu, wywołując we mnie dreszcz tym bardziej zatrważający, że zaiste nie wiedziałem, czemu go przypisać – otóż z malowideł tych (choć tak żywy obraz pozostawiły w moim umyśle) daremnie starałbym się wydobyć treść nadającą się do powtórzenia samymi słowami. Skończoną prostotą, swym skrajnym ogołoceniem przykuwały uwagę i porażały widza. Jeśli naga idea kiedykolwiek wyszła spod pędzla śmiertelnika, tym śmiertelnikiem był właśnie Usher. Z owych czystych abstrakcji, które nieszczęśnikowi udało się przenieść na płótno – przynajmniej takie było moje wrażenie w okolicznościach, w jakich się znajdowałem – biła groza z intensywnością, której próżno by szukać w majakach uwiecznionych przez FUSELEGO¹, świetlistych wprawdzie, lecz nazbyt dosłownych.

Nie wszystkie jednak wśród fantastycznych wizji mojego przyjaciela tak ściśle trzymały się ducha abstrakcji; warto przedstawić tu jedną z nich, nawet jeśli z miernym tylko skutkiem, z uwagi na ograniczoność słów. Niewielki obraz przedstawiał wewnątrz ogromnie wydłużonej prostokątnej krypty, a może tunelu nisko sklepionego, z gładkimi białymi ścianami o niezmaconych płaszczyznach. Pewne poboczne szczegóły kompozycji nieodparcie nasuwały myśl, iż pomieszczenie to znajduje się głęboko pod powierzchnią ziemi. W całej jego rozciągłości niewidoczny był jakikolwiek wylot, nie można też było dostrzec pochodni ani innych sztucznych źródeł światła; mimo to, za sprawą omiatających wewnątrz jaskrawych promieni, całość jawiła się skąpana w upiornym i niestosownym blasku.

O chorobliwym wyostreniu u Ushera zmysłu słuchu już wspominałem; dolegliwość ta skazywała nieszczęśnika na obcowanie wyłącznie

1 Johann Heinrich Füssli, znany także jako John Henry Fuseli (1741–1825), szwajcarski malarz, rysownik i poeta, tworzący głównie w Wielkiej Brytanii; jego obrazy przepęlnione są atmosferą koszmaru, grozy i tajemniczości (przyp. red.).



z brzmieniem określonych instrumentów strunowych. Być może okoliczność ta, która kazała mu się ograniczyć do gitary, owe narzucone mu wąskie ramy tłumaczą w dużej mierze olśniewający charakter jego popisów. Niemniej łatwość, z jaką przychodziły mu owe żarliwe improwizacje, stanowiła dla mnie zagadkę. Zarówno w samych dźwiękach, jak i w słowach jego rozbuchanych fantazji (albowiem nierzadko akompaniował sobie naprędce wymyślanymi rymowanymi wersami) niewątpliwie dopatrywać się trzeba owoców owego nadzwyczajnego skupienia i wyężenia umysłu, które, jak wcześniej nadmieniałem, ujawniało się jedynie w chwilach szczytowego, nienaturalnego pobudzenia. Wpadły mi w ucho słowa zwłaszcza jednej jego ballady. Urzekła mnie ona może dlatego, że kiedym jej słuchał, zdało mi się, iż w ukrytej czy tajemnej warstwie jej znaczenia po raz pierwszy dostrzegłem u Ushera pełną świadomość tego, co się w nim dokonuje – jego wzniosły rozum chwiał się niebezpiecznie na swym tronie. Strofy te, opatrzone tytułem *Pałac strachów*, przytaczam, jeśli nie w ich dosłownym brzmieniu, to możliwie najwierniej:

I

Pośród łąk i dolin bujnych,
Gdzie aniołów brać wesoła,
Niegdyś pałac stał dostojny,
Jasne, mężne wznosząc czoło.
Gdzie króluje Myśl strzelista,
Siedzibę miał;
Materia tworzyła go czystsza
Od wszelkich ziemskich chwał.

II

Wstęgi wiotkie, żółte, złote
Jego szczyty otulały.
(Tak – bowiem – tak sprawy te
Ongi się miały),



A wiatru łagodny powiew
W błogim czasie
Każdą muskał chorągiew,
Wonią czarowną je krasił.

III

Przez okien światłych dwoje
Ten, kto trafił tam przygodnie,
Mógł oglądać duchów roje,
Co do wtóru lutni zgodnie
Wokół tronu płąsały; a na nim,
Purpurą spowity!
W majestacie władzy, godnie,
Król zasiadał znakomity.

IV

Drzwiami z rubinu i perły sływał –
misterny to twór zaiste –
Skąd w świat płynął, płynął, płynął,
Echa śląc promieniste,
Sznur tonów, których cel wdzięczny
Był jeno głosić,
Brzmieniem nad wyraz pięknym,
Pochwałę królewskiej mądrości.

V

Lecz widm wataha, oddana złemu,
Za królobójczy miecz wnet chwyta;
(Ach, biada mu, albowiem nieszczęsnemu
jutrzienka już nigdy nie zaświta!).
Zaś kraj ten sławny z ogłady,
zakątek przez bogów wybrany,



Dziś cieniem ledwie bladym
Czasu, co dawno pogrzebany.

VI

Kto dziś zbłądzi w te ostępy,
Przez okna czerwienią płonące,
Dojrzy strachów mnogie zastępy
W zgiełku dzikim harującym.
Zaś przez pałacu sine drzwi,
Ciżbą upiorną w ten czas
Prze, niczym wartki strumień krwi,
Chichot – lecz uśmiech zgaś.

Wymowa tej ballady, pamiętam to dobrze, pchnęła nas ku rozważaniom, w toku których wyszedł na jaw pogląd Ushera, wart przytoczenia nie tyle dla swej odkrywczoci (albowiem głosili go przed nim inni¹), co przez wzgląd na uporczywość, z jaką przy nim obstawał. W ogólnym zarysie dotyczył on czucia jako właściwości wszelkich jestestw roślinnych. Jednak w chimerycznej wyobraźni mego gospodarza idea ta przybrała postać skrajną i objęła również, z pewnymi zastrzeżeniami, królestwo nieorganiczne. Brak mi słów, aby w pełni oddać zakres jego wywodów lub ich żarliwą za pamięć a łość. Rzecz miała związek z kamieniami, z których wzniesiono dom jego przodków. Na tę swoistą świadomość, wedle Ushera, wskazywać miał sposób połączenia owych kamieni, porządek, w jakim je ułożono, jak również układ pokrywających je porostów, rozmieszczenie butwiejących drzew – a nade wszystko odwieczne, niczym niezakłócone trwanie tego porządku i jego podwojenia za sprawą odbicia w martwej toni stawu. Świadectwa tejże zdolności czucia dopatrywać się należało, mówił (a mnie pod wpływem jego słów przeszły ciarki), w stopniowym, lecz niechybnym zagęszczaniu się wokół stawu oraz murów im tylko wła-

1 Watson, dr Percival, Spallanzani, a zwłaszcza biskup Landaff. Zob. *Traktaty o chemii*, t. v (przyp. aut.).



ściwej atmosfery. Przejawiało się to, dodał, w ponurym i nieubłaganym fatum, które jakoby ciążyło nad losami jego rodu i które jego samego doprowadziło do obecnego położenia. Tego rodzaju poglądy nie wymagają komentarza, dlatego powstrzymam się od uwag.

Naszą lekturę stanowiły książki, którymi zapewne od lat karmił się umysł nieszczęsnego Ushera, pozostające, jak można się domyślać, w zgodzie z charakterem jego urojeń. Wspólnie ślęczeliśmy nad takimi dziełami jak *Ververt* i *Chartreuse* Gresseta; *Belfegor* Machiavellego; *O niebie i piekle* Swedenborga; *Podziemna podróż Nicholasa Klimma* Holberga; *Chiromancja* Roberta Fluda, Jeana d'Indagine i De la Chambre'a; *Wyprawa w siną dal* Tiecka czy wreszcie *Miasto słońca* Campanelli. Specjalnymi względami cieszyło się wydane w małym formacie *Directorium Inquisitorum* dominikanina Eymerica de Gironne, a nad pewnymi ustępami z Pomponiusza Melli, w których mowa była o satyrach i egipianach starożytnej Afryki, Usher przesiadywał w rozmarzeniu długie godziny. Jednak szczególnej rozkoszy zaznawał przy czytaniu nader rzadkiego i osobliwego średnio-wiecznego dzieła, obrządku dawno zapomnianego Kościoła, *Vigiliae Mortuorum secundum Chorum Ecclesiae Maguntinae*¹.

Zawarty w nim opis niesamowitego rytuału od razu przeszedł mi przez myśl, gdy któregoś wieczoru Usher, niezwykle podatny na wszelkie dziwactwa, oznajmił mi, że lady Madeline nie ma już wśród nas, a następnie wyraził swą wolę złożenia jej zwłok na przeciąg dwóch tygodni w jednej z licznych krypt w podziemiach dworu, przed odprawieniem ostatecznego pochówku na cmentarzu. Ogłoszonego przy tym praktycznego uzasadnienia tak osobliwego postępowania nie śmiałem, z racji jego natury, podawać w wątpliwość. Otóż do podjęcia tego kroku skłonił brata (jak mnie szczerze zapewniał) wzgląd na niecodzienny charakter przypadłości jego siostry, na pewne zgoła nietaktowne i natarczywe dociekania ze strony lekarza, jak również na odległe położenie i dostępność dla niepo-

1 *Nocne nabożeństwo za zmarłych według liturgii Kościoła mogunckiego*. Ten tytuł fikcyjnego dziełka nawiązuje do rzeczywistej, choć zaginionej księgi katolickiej z początku XVI wieku (przyp. red.).



wołanych osób miejsca spoczynku członków jego rodu. Nie będę ukrywał, że na wspomnienie złowieszczej powierzchowności osobnika, na którego natknąłem się tuż po przyjeździe, nie wyraziłem najmniejszego sprzeciwu wobec tego przedsięwzięcia, w moim mniemaniu raczej nieszkodliwego i podyktowanego zrozumiałą w tych okolicznościach ostrożnością.

Na prośbę Ushera wziąłem czynny udział w przygotowaniu tymczasowego pochówku lady Madeline. Włożywszy ciało do trumny, znieśliśmy je we dwójkę do podziemi. Umieściliśmy je w krypcie, małej i wilgotnej, do której nie przedostawał się najlżejszy nawet promyk światła. To zatęchłe pomieszczenie, w którym nasze pochodnie z braku powietrza ledwie się tliły, uniemożliwiając dokładny ogląd, znajdowało się na znacznej głębokości pod tym skrzydłem domu, gdzie wyznaczono mi sypialnię. W czasach feudalnych ciemnica ta służyła chyba za loch, później składowano w niej proch czy inną łatwopalną substancję, gdyż część posadzki oraz całe wnętrze łukowato sklepionego korytarza, który do niej prowadził, szczelnie pokrywały miedziane płyty. Podobnie chronione były masywne żelazne odrzwia; ich ciężar sprawiał, że obracając się na zawiasach, przerażliwie wprost zgrzytały.

W owym przybytku grozy złożyliśmy na marach nasze żalobne brzemie i odsuwając luźne jeszcze wieko trumny, zerknęliśmy na lady Madeline. Natychmiast zwróciło mą uwagę łudzące podobieństwo siostry do brata; Usher, jakby odgadując moje myśli, wymamrotał kilka słów o tym, że byli bliźniaczym rodzeństwem i zawsze łączyły ich więzi trudno pojmowalnej natury. Nie na długo zatrzymaliśmy swe spojrzenia na zmarłej – niepodobna było bowiem przyglądać się jej bez trwogi. Choroba, która wpędziła do grobu ową damę w kwiecie młodości, odcisnęła na jej licach, jak to zazwyczaj bywa w przypadkach katalepsji, szydercze pozory rumieńca, w kącikach ust zaś utrwalił się tak upiorny w śmierci uśmiech. Zasunęliśmy z powrotem wieko trumny i przymocowaliśmy je śrubami, po czym starannie zamknąwszy żelazne odrzwia, ruszyliśmy w wyczerpującą drogę powrotną do niewiele jaśniejszej części mieszkalnej domu.



Kilka następnych dni upłynęło w atmosferze nabrzmiałej boleścią, zaś w zaburzeniu, jakim dotknięty był umysł mego przyjaciela, wystąpiły nowe, wyraźne rysy. Jego zachowanie zmieniło się nie do poznania. Zarzucił, przez roztargnienie czy zaniedbanie, swe zwykłe zajęcia. Błąkał się po domu, a jego chód zdradzało nerwowe ożywienie. Bładość oblicza pogłębiła się, przybierając, o ile to w ogóle możliwe, odcień jeszcze przezrażliwszy – za to pałający niegdyś w jego oczach ogień teraz bezpowrotnie zgasł. Ochrypliły głos, jakim niekiedy się odzywał, ustąpił całkowicie miejsca wysokim i rozedrganym tonom, niczym u zaszczutego zwierzęcia. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że trawi go od środka jakiś nienawistny sekret, do którego wyjawienia nieszczęśnik na próżno stara się wyrzesać z siebie konieczną śmiałość. Innym razem jednak, widząc, jak długimi godzinami wpatruje się w pustkę w postawie najwyższego skupienia, niby nasłuchując jakiegoś urojonego odgłosu, skłonny byłem to wszystko przypisać po prostu nieodgadnionym ścieżkom, jakimi podąża obłąkany umysł. Trudno się przeto dziwić, iż jego stan mnie przerażał – że udzielał się mnie samemu. Czułem, jak z wolna, lecz nieuchronnie popadam we władzę jego obłądnych, a przy tym tak silnie narzucających się mrzonek.

Lecz pełnej mocy owych doznań doświadczyłem, udawszy się na spoczynek do swej sypialni siódmej czy ósmej nocy od złożenia lady Madeleine w krypcie. Godziny wlokły się jedna za drugą, a sen nie zstępował na moje powieki. Usiłowałem drogą rozumnej perswazji zwalczyć nerwość, która zakradła się do mego serca. Próbowałem przekonać samego siebie, iż to, co odczuwam, można w jakimś stopniu, jeśli nie w całości, wytłumaczyć mącącym zmysły oddziaływaniem ponurego wystroju pokoju – ciemnych i podniszczonych draperii, które pobudzone do życia tchnieniem naciągającej burzy, powiewały kapryśnie na ścianach i szeleściły niepokojąco u wezglowia łoża. Ale na nic zdały się te wysiłki. Niepohamowane drżenie stopniowo ogarniało całe moje ciało; aż wreszcie serce zdusiła mi zmora niczym nieugruntowanej trwogi. Przeganiając ją z niemałym trudem, dźwignąłem się na łóżku i wbijając żarliwie wzrok w otaczające mnie ciemności, wsłuchiłem się – nie wiedzieć czemu, naj-



pewniej powodowany instynktem – w głucho, przytłumione dźwięki, które nie wiadomo skąd dochodziły do mnie w długich odstępach, gdy burza za oknem chwilowo cichła. Zdjęty grozą, niewytlumaczalną, lecz nie mniej przez to przejmującą, odziałem się w pośpiechu (przeczuwałem bowiem, iż nie dane mi będzie zmrużyć oka tej nocy) i zacząłem spacerować po pokoju w nadziei, że w ten sposób otrząsnę się z żalosego stanu ducha, w jakim się pogrążyłem.

Ledwie przeszedłem kilka razy tam i z powrotem, gdy zwrócił moją uwagę odgłos lekkich kroków na przyległych schodach. Po chwili rozpoznałem chód Ushera i zaraz potem zapukał on delikatnie do drzwi i wszedł do środka z lampą. Moim oczom ukazała się znajoma trupia bledość twarzy, której teraz towarzyszył jednak błysk obłąkańczej wesołości w oczach, a całe jego obejście zdradzało z trudem trzymane w ryzach historyczne podniecenie. Jego wygląd przeraził mnie – lecz wobec udręki samotności, która tak nieznośnie mi ciążyła, wszystko byłbym przyjął jak wybawienie – toteż z niejaką ulgą powitałem jego obecność.

– Czyżbyś jeszcze nie widział? – wykrzyknął nagle, zlustrowawszy moją sypialnię w milczeniu. – Zatem nie widziałeś? Ale, sza! oto ujrysz.

Ostłoniwszy lampę, podbiegł do okna i wyszarpnął rygiel.

Pod naporem wichury okno otworzyło się gwałtownie i do środka wdarł się wściekły podmuch z siłą, która o mało nie poderwała nas w powietrze. Widok rozhukanego żywiołu za oknem zaiste pełen był surowego, niepowtarzalnego piękna – budził grozę, a zarazem urzekał. Okolicę niechybnie nawiedziła potężna trąba powietrzna, albowiem wicher wiał coraz to w innym kierunku; co więcej, pomimo niezwyčajnego zgęstnienia chmur (które wisiały na niebie tak nisko, że nieomal ocierały się o wieżyczki dworu) nie uszło naszej uwagi, iż obłoki w szalonym pędzie nadlatują ze wszystkich stron i kotłują się niby w jakimś zakłętym kręgu. Powiadam, że mimo niezwyčajnego ich zgęstnienia nie uszło to naszej uwagi, a przecie i księżyc, i gwiazdy były pochowane, na niebie nie zapłonęła też dotąd ani jedna błyskawica. Lecz zarówno kłębowisko rozjuszonych chmur w swojej spodniej warstwie, jak i całe



pobliskie otoczenie na ziemi lśniło w nienaturalnej poświacie jarzących się błado, ale wyraźnie wyziewów, które szczelnie otulały dom.

– Nie wolno ci – to nie dla twoich oczu! – rzekłem drżącym głosem i delikatnie, lecz stanowczo odciągnąłem Ushera od okna i posadziłem na krześle. – Zjawiska, które tak przykuwają twoją uwagę, są w swej istocie elektryczne i całkiem pospolite – choć niewykluczone, że biorą swój upiorny byt ze skisłych oparów unoszących się nad stawem. Zaryglujmy okno; zimne powietrze może ci zaszkodzić. Mam tu jeden z twoich ulubionych romansów. Poczytam ci i wspólnie jakoś przetrwamy tę straszliwą noc.

Podniosłem wiekowy tom pióra sir Launcelota Canninga opatrzony tytułem *Tryst Szalony*, co do którego określenie „ulubiony” stanowiło z mojej strony raczej przejaw chybionego humoru aniżeli upodobania do prawdy; cóż bowiem zajmującego znaleźć mogła w tym rozwlekłym utworze, na dodatek pozbawionym polotu, umysłowość mego druha, tak wzniosła i wysublimowana? Niestety, niczego innego pod ręką nie miałem; ponadto żywiłem cichą nadzieję (albowiem historia umysłowych zaburzeń obfituje w tego rodzaju anomalie), że skrajna niedorzeczność tej opowieści ostudzi rozgorączkowany umysł nieszczęsnego Ushera. Gdyby przyszło mi sądzić po przesadnym wręcz napięciu, z jakim wsłuchiwał się czy zdawał się wsłuchiwać, w słowa opowieści, pomysł swój mógłbym uznać za wszech miar trafny.

Niebawem dotarłem do słynnej sceny, w której Ethelred, bohater *Trysta*, po daremnych próbach uzyskania wstępu do siedziby pustelnika drogą pokojową, postanawia wedrzeć się do niej siłą. Gwoli przypomnienia, przytaczam odnośny ustęp w jego dosłownym brzmieniu:

Natenczas Ethelred, który był śmiałego serca, a który teraz rozochocony był w dwójnasób, pokrzepiony mocą spożytego wina, przewrwał jałowe rokowania z pustelnikiem, który po prawdzie upartej i złośliwej był natury, lecz czując na barkach strugi deszczu i lękając się rychłej burzy, naraz wzniosł maczugę i szybkimi ciosy wyrębał



w drzwiach otwór dla swej opancerzonej ręki, którą jął tak energicznie łamać, szarpać i rozrywać stojącą mu na drodze zaporę, że huk pękającego drewna niósł się i rozbrzmiewał echem po całym lesie.

Doczytawszy to zdanie do końca, wzdrygnąłem się i na chwilę zawiesiłem głos; albowiem wydało mi się (co zresztą zaraz zbyłem jako omam rozgorączkowanej wyobraźni) – otóż wydało mi się, iż z odległego krańca domu doleciał do mych uszu, niewyraźny wprawdzie, odgłos łudzaco podobny (tyle że stłumiony i głuchy) do tak szczegółowo odmalowanych przez sir Launcelota trzasków i łomotów. To niewątpliwie owa zbieżność tak mnie poruszyła, gdyż pośród szczęku okiennic i pomruków przybiegającej na sile burzy dźwięk ten sam w sobie nie zasługiwał zapewne na szczególną uwagę. Podjąłem przerwana lekturę:

Lecz nasz dzielny rycerz Ethelred, przestępując przez próg, rozszerdził się i zdumiał, jako że krnąbrny pustelnik zniknął był bez śladu; zaś w jego miejsce stanął smok, pokryty mieniącymi się cudownie łuskami i zionący ogniem, który bronił wejścia do pałacu ze złota, o posadzkach wyłożonych srebrem; do złotej ściany przytwierdzona zaś była pawęż¹ obita lśniącym spizem, na której wyryto napis:

Kto pałac zajmie, ten zwycięzcą będzie,
Kto smoka ubije, ten pawęż posiedzie.

Na to Ethelred dobył maczugi i wraził ją w łeb bestii, która padła u jego stóp i wydała ostatnie plugawe tchnienie, z przeraźliwym i chrapliwym skrzekiem, do tego tak świdrującym, iż Ethelred zmuszony był osłonić uszy przed straszliwym hałasem, jakiego dotąd nigdy jeszcze nie słyszano.

1 Pawęż, rodzaj tarczy w kształcie czworokąta, wysokiej nawet do ramion dorosłego mężczyzny, na ogół wykonanej z drewna obitego skórą lub blachą, zdobioną w różny sposób. Używana głównie przez piechotę, zwłaszcza przy oblężeniach jako osłona kuszników (przyp. red.).



W tym miejscu znów przerwałem, z uczuciem dzikiego zdumienia; nie mogłem bowiem wątpić, iż tym razem w istocie rozległ się (choć wciąż nie potrafiłem ustalić, skąd dochodził) gdzieś w oddali ściszony, lecz ostry i przeciągły, nienaturalny wrzask lub zgrzyt – dokładny odpowiednik przeraźliwego skrzeku smoka, jaki zrodził się w mojej wyobraźni pod wpływem przeczytanego opisu.

Wystąpienie po raz drugi tak nadzwyczajnego zbiegu okoliczności wzbudziło we mnie mnogość sprzecznych odczuć, wśród których na czoło wybijały się zgroza i zadziwienie, zdołałem wszak zachować przytomność umysłu na tyle, aby żadnymi uwagami nie pogłębiać rozdrażnienia mojego wrażliwego towarzysza. Nie byłem pewny, czy w ogóle zwrócił uwagę na wspomniane hałasy; choć bez wątpienia w jego postawie w ciągu ostatnich kilku minut zaszła dziwna zmiana. Początkowo usadowiony naprzeciwko mnie, stopniowo obracał swoje krzesło, aż zwrócił się twarzą do drzwi; nie mogłem zatem widzieć dokładnie rysów jego twarzy, dostrzegłem jednak drżenie warg, jakby mamrotał coś pod nosem. Siedział ze zwieszoną głową – ale wiedziałem, że nie śpi, zdradzało to zastygłe spojrzenie szeroko otwartych oczu. O tym, iż czuwa, świadczył też ruch jego ciała, gdyż kołysał się nieznacznie, lecz miarowo z boku na bok. Odnotowawszy to wszystko, powróciłem do przygód dzielnego Ethelreda:

Po czym bohater nasz, uszedłszy cało przed rozszalałą furią bestii, mając na względzie spizową pawęż i zdjęcie ciężącego na niej zakłęcia, uprzątnął smocze ścierwo ze swej drogi i stąpając dziarsko po srebrnej posadzce pałacu, zbliżył się do pawęży, która po prawdzie nie myślała czekać, aż całkiem podejdzie, lecz padła mu do nóg, na podłogę z czystego srebra, z gromkim i przerażającym brzękiem.

Ledwie wypowiedział te ostatnie sylaby, gdy uzmysłowiłem sobie – jak gdyby na zawołanie spizowa tarcza grzmotnęła gdzieś w pobliżu o podłogę ze srebra – wyraźny, niski, metaliczny i dźwięczny, mimo



że stłumiony pogłos. Wytrącony z równowagi, zerwałem się na równe nogi; ale Usher nadal kołysał się jednostajnie, nieporuszony. Podbiegłem do niego. Wzrok wbity miał przed siebie, a jego oblicze zachowywało kamienny wręcz spokój. Lecz gdy położyłem mu rękę na ramieniu, zatrzęsł się; chorobliwy uśmiezek zagościł na jego ustach i spostrzegłem, że cicho i pospiesznie mamrocze coś bełkotliwie, jak gdyby nie był świadom mojej obecności. Pochyliłem się nad nim i wchłonąłem w końcu odrażającą treść jego słów.

– Czy nie słyszysz? Owszem, słyszysz, zresztą od dawna. Długie, długie, długie minuty, całe godziny, całe dni słyszałem to, tak – lecz nie śmiałem ci mówić! Miej dla mnie, żalosego nędznika, litość! Nie śmiałem – nie śmiałem się odezwać! Żywcem złożyliśmy ją do grobu! Czyż moje zmysły nie są wyczulone? Teraz powiadam ci, że słyszałem pierwsze jej słabe poruszenia w trumnie. Słyszałem je – wiele, wiele dni temu – lecz brakło mi odwagi – brakło mi odwagi się odezwać! A dziś wieczór – Ethelred – ha! ha! strzaskanie drzwi pustelni, przedśmiertny wrzask smoka, brzęk tarczy! Powiedz lepiej, zerwanie wieka z trumny, zgrzyt żelaznych odrzwi jej więzienia, jej miotanie się po wyłożonym blachą podziemnym korytarzu! Dokąd mi teraz uciekać? Przecie lada chwila pojawi się tutaj! Już słyszysz, jak idzie skarcić mnie za moją pochopność! Czyż to nie jej kroki łomotały na schodach? Czyż to nie jej serce tak ciężko i potwornie dudni? Wariat? – W tym momencie podniósł się z impetem i wykrzyczał ostatnie słowa, jakby wkładał w nie całą swą duszę: – Wariat? Zapewniam cię, że ona jest tuż za drzwiami!

Jak gdyby nadludzka energia bijąca z jego wypowiedzi miała moc czynienia czarów, w tejże chwili ogromne wiekowe drzwi z wolna rozwarły swe nieruchawe hebanowe szczęki. Sprawił to podmuch wiatru – lecz za progiem zaiste ukazała się moim oczom wiotka postać lady Madeline w pożegnalnym stroju. Białe szaty splamione były krwią, a jej wychudzone ciało nosiło ślady jakiejś zacieklej walki. Przez chwilę stała w progu, dygocąc i kiwając się na wszystkie strony – potem runęła z jękiem do





środką wprost na swojego brata i zwierając się z nim w gwałtownej, agonicznej udręce, przygniotła go do podłogi martwego, porażonego zgrozą, którą był przewidział.

Z komnaty tej i z tego domostwa uciekłem w popłochu. Wokoło wściekle huczała zawierucha, gdy ruszyłem znajomą starą groblą. Wtem drogę przede mną rozświetlił nagły, niesamowity błysk i obróciłem się, ciekaw, skąd pada to niezwykle światło, albowiem za plecami miałem tylko tonący w mroku dwór i jego cień. To krwiste czerwona łuna zachodzącego księżyca tak wyraziście przezieriała przez niegdyś ledwie dostrzegalną szczelinę, która, jak już nadmieniałem, biegła zygzakiem od dachu dworu aż po jego posady. Patrzyłem niby w urzeczeniu, jak szczelina gwałtownie się rozwiera – w wyłom wdarł się potężny podmuch – w okamgnieniu ukazał się cały księżyc – zakręciło mi się w głowie, gdy masywne mury runęły rozdarte na pół – rozległ się długi, ogłuszający huk niczym krzyk tysiąca wodospadów – i posępna, przepastna tonń stawu u moich stóp bezgłośnie scalała się nad szczątkami „Domu Usherów”.

Spis treści

Metzengerstein	5
Berenika	16
Morella	26
Eleonora	34
Ligeja	41
Zagłada Domu Usherów	60
Studnia i wahadło	83
Rękopis znaleziony w butelce	102
William Wilson	116
Schadzka	140
Człowiek tłumy	156
Owalny portret	166
Duch przekory	171
Serce – oskarżycielem	179
Czarny kot	187
Beczka amontillada	199
Żabi Skoczek	208
Maska Czerwonego Moru	220
Król Pomór	228
Podłużna skrzynia	242
System doktora Pierza i profesora Smoły	255



Przedwczesny pogrzeb	275
Prawdziwy opis przypadku p. Valdemara	292
Tyś to uczynił	303
Psyche w opałach	320
Wyspa wróżki Fay	331
Cień – przypowieść	337
Milczenie	340
Opowieść z wyprawy w Góry Strzępiaste	345
W bezdni malströmu	356
Zabójstwa przy Rue Morgue	375
Tajemnica Marie Rogêt	412
Skradziony list	467
Złoty żuk	488
Mesmericzne objawienie	528
Rozmowa Monosa i Uny	540
Dialog Eirosa i Charmiony	551
Potęga słowa	558
Artysta pejzażu	563
Posłowie tłumacza	581
Wykaz ilustracji	589

POE

– prekursor horroru i opowiadań detektywistycznych. Żył krótko i burzliwie, zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, a osiągnięcia twórcze zmieniły historię literatury. Jego utwory cieszą się niesłabnącą popularnością. Sam Poe silnie oddziałuje na współczesną kulturę, o czym świadczą liczne powieści, filmy, seriale i kreskówki, których jest bohaterem. Jego twórczość inspirowała i nadal inspiruje grafików, malarzy i muzyków. H.P. Lovecraft mówił o nim: „Bóg fikcji literackiej”.

Teraz Poe powraca w mistrzowskim przekładzie.

Sławomir Studniarz – uhonorowany Nagrodą „Literatury na Świecie” – znakomicie oddaje walory językowe i literackie oryginału.

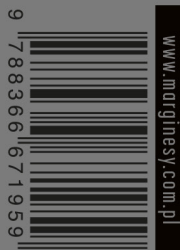
Gratka dla miłośników grozy, budzący dreszcz powrót do źródeł – trzydzieści dziewięć opowiadań, będących prawdziwą mieszanką wybuchową, która nieustannie zniewala kolejne pokolenia czytelników.

EDGAR ALLAN POE



(1809–1849) – poeta i powieściopisarz, pracował jako krytyk i redaktor. Przedstawiciel romantyzmu w literaturze amerykańskiej.

W jego twórczości dominowały wątki fantastyki i horroru. Zapoczątkował gatunek noweli kryminalnej (*Zabójstwo przy Rue Morgue*). Stworzył także pierwszą w literaturze postać detektywa – C. Auguste Dupina, który rozwiązuje zagadki kryminalne, stosując metody dedukcji.



cena 64,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII

BESTIARIUSZ

w sprzedaży także



KUP TERAZ!